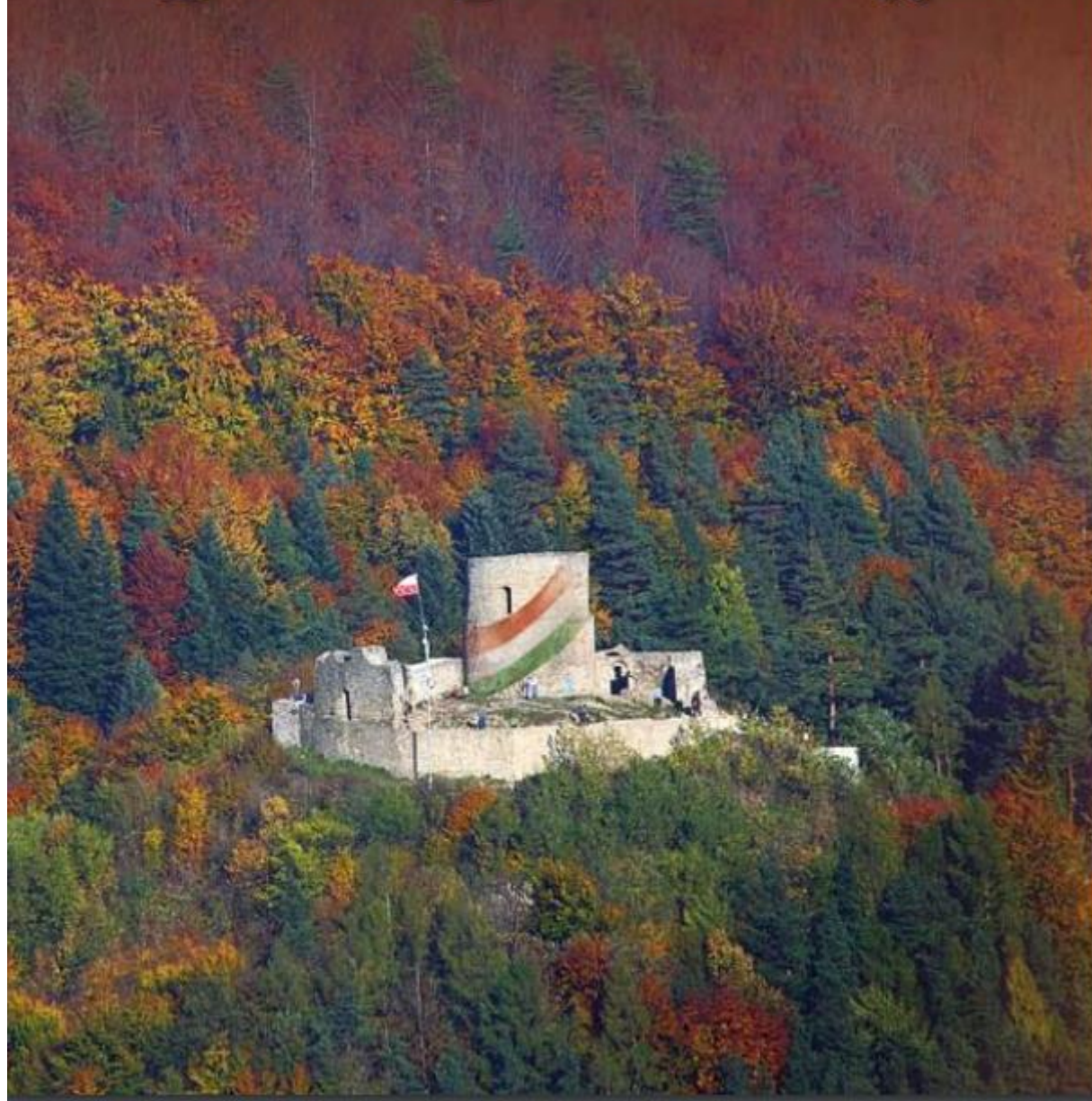


Magdalena Ponurkiewicz

Tajemnica węgierskiego manuskryptu



TAJEMNICA WĘGIERSKIEGO MANUSKRYPTU

Magdalena Ponurkiewicz

Nowy Sącz 2013

Za pomoc i wsparcie w wydaniu książki dziękuję: Powiatowi Nowosądeckiemu, Prezydentowi Miasta Nowy Sącz Panu Ryszardowi Nowakowi, Państwowej Miejsko-Gminnej Bibliotece Publicznej w Starym Sączu.

Moim przyjaciołom poświęcam

[Kup książkę](#)

OD AUTORKI

Od napisania w 2001 i w 2002 dwóch książek: „Okruchy pamięci” i „Byłam niewolnicą, czyli na czarno w Nowym Jorku” minęło dziesięć lat. Postanowiłam wreszcie dotrzymać obietnicy danej sobie i moim Czytelnikom i tak powstała trzecia – „Tajemnica węgierskiego manuskryptu”. Jej akcja toczy się w latach 2005 do 2009, ale nie brak w niej odniesień zarówno do wieku XVI, jak i II wojny światowej i lat okupacji oraz Powstania Węgierskiego 1956 roku. Trzy źródła inspirowały mnie do napisania książki: • pierwsze, to niezwykle przyjazne współlistnienie dwóch narodów w czasach próby, • drugie, to moje węgierskie korzenie sprzed wieków, o których żadną szczegółową wiedzę nie dysponuję. Dzisiaj, gdy ta sprawa interesuje mnie szczególnie, nie mam już kogo o to zapytać. Usiłowania bohatera książki, Adama Szamodi dotyczące poszukiwania jego własnych korzeni, są próbą spłacenia moralnego długu wobec moich przodków, wynikającą z grzechu zaniechania, • trzecie, to moje nieustające zauroczenie Sądecczyną. Wiedzę o stosunkach polsko-węgierskich trzeba było uporządkować, poszerzyć w oparciu o źródła dokumentalne i rozmowy z Osobami, które zechciały podzielić się ze mną wiedzą i doświadczeniem, opowiadając historie przyczyn i okoliczności zadzierzgniętych więzi między dwoma narodami. Bez Ich pomocy książka nigdy nie powstałaby w takim kształcie. Wędrując do miejsc ukochanych, które ulegają nieustannym przeobrażeniom, chciałabym zatrzymać ten nieubłagany proces, a opowiadania moich rozmówców, równie jak ja zafascynowanych naszą Małą Ojczyzną, stały się znakomitą materiałem rejestrującym odchodzący czas i zmiany, od których nie sposób uciec. Pozostaje mi jeszcze złożenie serdecznych podziękowań za bezinteresowną pomoc wielu Osobom, które nie szczędząc czasu, sił i inwencji, zechciały wesprzeć mnie w trakcie pisania „Tajemnicy węgierskiego manuskryptu”, a to:

Panu Ambasadorowi Ákosowi Engelmayerowi – za pracę redakcyjną dotyczącą tematyki węgierskiej i uwagi odnośnie właściwego doboru materiałów źródłowych; Panu Istvánowi Elekowi – bohaterowi Powstania Warszawskiego, za informacje dotyczące realiów, w jakich przyszło mu działać w okresie Powstania i później; Księdzu Proboszczowi Józefowi Babiczowi i Panu Antoniemu Mrozowi za dostarczenie unikatowych materiałów i podzielenie się wiedzą na temat obecności węgierskich sierot powstania 1956 roku w Marcinkowicach i kontaktów polsko-węgierskich w okresie późniejszym; Pani Lucynie Latała-Zięba, Przewodniczącej Koła Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Piwnicznej, za konsultacje dotyczące tematyki węgierskiej; Panu Mirosławowi Marcinowskiemu za tłumaczenie tekstu manuskryptu

na język węgierski; Pani Marii Lebdowiczowej za pracę korektorską, cenne uwagi i wskazówki dotyczące tak treści jak formy książki, oraz materiały źródłowe; Pani Wandzie Łomnickiej-Dulak za konstruktywne uwagi odnoszące się do treści związanych z regionem; Panu Janowi Górskiemu oraz memu Sąsiadowi, (chcącemu pozostać osobą anonimową) – za barwne opowieści dodające smaku mojej książce; Państwu Beacie i Darkowi Mroczkom, Jędrzejowi Dziedzicowi, Kasi i Pawłowi Beresiom, Mirze Wiktorowskiej, Markowi Kowalskiemu, Miłce Chrząstowskiej, Grzegorzowi Złotowiczowi oraz mojemu mężowi Januszowi za pozostałe prace nad przygotowaniem książki do druku i moralne wsparcie wobec piętrzących się trudności. Gorące podziękowania składam także fotografikom: Barbarze Paluchowej, Kamilowi Bańkowskiemu, Dariuszowi Mroczkowi, Jackowi Szymańskiemu, Jackowi Świczarzewi, Krzysztofowi Tomasiakowi, Zygmunutowi Trylańskiemu, Jarosławowi Wiśniewskiemu oraz Jackowi Zachwiei i Stanisławowi Zachwiei, którzy nieodpłatnie udostępnili znakomite zdjęcia do książki.

Magdalena Ponurkiewicz

Historia węgierskiego kupca.

Poznajcie historię z roku pańskiego 1418, kiedy to Rytro wraz zameczkiem obronnym, Przysietnicą, Barciami, Olszaną, Leszczyną i Czarnym Potokiem, w swe posiadanie Piotr Ryterski herbu Topór objął, za męstwo na polu walki owo otrzymawszy. Zameczek pełnił rolę stróży nad szlakiem handlowym z Węgier, w obie strony uczęszczanym. Ów szlak handlowy przez Mniszek, Piwniczną Szyję, Rytro, Barcice i Stary Sącz, w głąb Małopolski biegnący, a to gościńcem wśród dzikiego lasu, a to Popradem, który to zimą silnie zamarzający wygodną drogę dla wozów i konnych stanowił. Tędy też karawany kupieckie wiozły z Węgier towary różnorakie: a to miedź, tkaniny cienkie bawełniane i jedwabne, kobierce, obicia, ozdoby ścian, ludzi i koni, perły i inne szlachetne kamienie, a ubożsi na ten czas winem handlowali. W drogę powrotną sól, bursztyn, sukno, miody, smołę i piwo z Polski zabierano. Wielce łakomym kąskiem dla rabusiów i innych łotrzyków stać się mogły owe dobra wszelakie. Bywało, że i członkowie załogi stróży myto pobierać mającej, sami na owe cudowności wielki apetyty mając, na zdrowie i życie kupców nastawiać mogli.

Letni dzień miał się ku końcowi. W zachodzącym słońcu połyskiwały mury stróży z białego kamienia zbudowane, pięknie barwionym lasem liściastym objęte, jako że miało się już ku jesieni. Widok ów zachwyciłby niejednego wędrowca, ale nadjeżdżającym kupcom co z Węgier przybywali, nie w głowie były piękne widoki. Na koźle młody mężczyzna poganiał nerwowo konie. Pod płóciennym dachem półkoszka martwy pomocnik woźnicy owinięty skórą spoczywał.

Kupiec Janosz wsparty na ramieniu, za bok się trzymał krwawiący. Krew niby krzepła, ale rana groźna się zdała. Twarz rannego trupio blada potem była pokryta, spod czarnych włosów spływającym.

- Imre, noclegu nam szukać, a chyżo - wyszeptał.

- Tak, Panie Janosz, już my na miejscu prawie, dach karczmy Józefowej widać.

Woźnica wstrzymał po chwili zdrożone konie i dalejże wzywać gospodarza, bo rannego w pojedynkę dźwigać nie podobna. Zjawił się mężczyzna w sile wieku, a z nim żona i córka zapewne. Przenieśli rannego do alkierza. Ów bywał w tym miejscu po wielokroć, z Józefowej gościny korzystając. Woźnica końmi nakazał się zająć, strawy dla siebie i rannego zażądawszy.

- Medyka jakiego by trza - bąknął łamaną polszczyzną, jako że nie pierwszy raz do Polski przybywał.

- Janosz wiedzą, że tu ino babka co zioła warzyć umie, a i chorobę zamówić poradzi. Nijakich medyków tu ni ma, cheba, że w Starym.

- Maryśka! Leć po Jagnę - zarządził karczmarz, a sam się uwijać przy rozładunku począł.

Stara Jagna spieszyć się musiała niepomrotnie, przynaglana przez Maryskę, bo do izby wpadła zdyszana wielce i czerwona na gębie. Za pazuchą miała zioła, pęk szarpiei i jakowyś tajemny eliksir, którym smarując a potem ranę okładając, mruzczała pod nosem modlitwy jakoweś, czy zaklęcia. Na koniec okadziła chorego węgielkiem rozżarzoną. Wreszcie płótna od gospodarza dostawszy owinęła go i poszła obiecując, że zajrzy niebawem. Karczmarz łuczywo dodatkowe przyniosłszy podszedł do łóża.

- Ej, panie Janosz, panie Janosz! To nieprzygoda dopiero! A widzieliście owych łotrzyków?

Ranny, który w ciemnościach nocy poprzedniej widział (jak mu się zdawało) szyszak na twarzy

napastnika i połysk drobnej metalowej łuski na jego kaftanie, mruknął jeno pod nosem, że to niczego i nikogo nie widział, bo ta czarna była. Żadnej pewności nie miał przecie. Janosz znał gospodarza i jego rodzinę. Życzliwy i przyzwoity to był człek, ale czy warto język strzepić po próżnicy, lepiej gębę na kłódkę trzymać. Pochwalił jadło i dbałość kobiet o żywych i konie, i począł zmawiać się z karczmarzem co do pochówku zabitego. Polszczyzną władał lepiej od swego furmana, bo i lata jeździł z ojcem, a potem z bratem aż pod Stary, a czasem i Nowy Sącz. Gospodarz z synem wzięli się za kopanie grobu nieopodal karczmy. Kiedy świt zajaśniał nie było śladu, jedynie kamień smołą ubabrany znaczył miejsce pochówku. Karczmarz nie jedno widział w swoim życiu i wiedział, że rannego i towary ukryć można, ale wozu już nie (o bezpieczeństwo od owych łotrzyków chodziło przecie). Doradził więc woźnicy Janoszowemu, by ten a chyżo na Węgry w drogę powrotną się udał, o tym co widział i słyszał nie rozpowiadając.

- Prześpij się krzyne, boś zdrożony - z troską wyszeptał Janosz - polewki pojedz nieco i w drogę chłopcze. Pustym wozem w dwa konie szybciej będzie. Wierzę ci Imre, jak swojemu. Memu bratu wiadomość przekaż najrychlej, żem ranien a Bóg da, że się wyliżę, to i wiosną po mnie przyjedziecie, a i towary sprzedać będzie pora. Jednakowoż, gdybym skapiał - głos zawiesił na chwilę...
- Co też panie Janosz, co też mówicie! Młodziście, będziecie zdrowi! Siła w was jeszcze! - przerwał mu woźnica.
- Jeno Bóg jeden wie, co komu pisane. Jeśli zemrzeć mi przyjdzie, karczmarz będzie wiedział co czynić należy.

Szary świt wstawał, kiedy Imre szarpnięciem za ramię obudzony, do drogi się sposobił. Gomółkę chleba, spyrkę, dwa bukłaki z wodą i winem na wóz wrzuciwszy, konie zaciął. Janosz patrzył za nim ponuro. Czuł się nieco silniejszy, rozejrzał się po izbie i sporą sakwę pod głowę podłożywszy drzemał do rana. Następnego dnia babka ranę na nowo opatrzywszy, świeżym kawałkiem płótna opasała chorego.

- Jak wam panie?

- Lepiej nieco, Bóg zapłać.

W zniszczoną dłoń starej zapłatę jakowąś wsunął. Słuszna być musiała, bo babka wielce uradowana z izby wychodziła. Kiedy w drzwiach obróciła głowę ostatni raz, Janosz trzymał palec na wargach, milczenie o sprawie nakazując.

Gospodyni rosółu z kury z zacierką uwarzyła, gęsty był a pożywny. Zjadł trochę i gospodarza o konia zagadnął. Ten przyjrzał mu się koso.

- A gdzie to panie? Słabiście przecie.

- Sprawę mam - odciął się krótko Janosz. - Wrócę przed nocą, a wy Józefie z izby towar zabierzcie, a ukryjcie dobrze.

Ruszył ledwie na grzbiet koński się wdrapawszy, sakwę co ją pod głowę w łóżu trzymał przed sobą mając. Przez bród przeprawa nie była trudna. Jechał wolno brzegiem Popradu, na południe. Drzewa i krzaki osłaniały jego i konia. Ujechawszy może ćwierć mili rozejrzał się bacznie. Pod końskimi kopytami pojawiła się struga, z lewa od gór płynąca. Ruszył w stronę źródeł. Znalazł je. Z ojcem swoim był tu po dwakroć, wodą się racząc, co niejednego uzdrowić miała. Teraz o niej nie myślał, ale o miejscu skąd brała początek. Jedną jeszcze stając ujechawszy znalazł to czego szukał. Dwa lata ledwie minęły, kiedy z bratem owo panaceum pijąc, węża olbrzyma w słońcu się pławiącego ujrzeli. Nieopodal ściana pionowa, a w niej rozpadlina głęboka. Krzaki osłaniały owo miejsce tajemne. Zsunął się z konia i na skale piaskowej u jej podnóża rylcem znak uczynił. Sakwę w rozpadlinie głęboko upchnął i kamieniami przyłożył. Zmęczony wielce legł na trawie, by po chwili z wysiłkiem, cicho postępując na konia się wdrapał przewiesiwszy się przez grzbiet zwierzęcia. Koń w stronę domu ruszył, rychło bród na Popradzie przekraczając. Kiedy mrok gęsty zapadł karczmarz znajome rzenie usłyszawszy wybiegł z izby.

Po chwili krzykiem kobiety wzywał. Ledwie przytomnego do alkierza wnieśli.

- Legnijcie se panie, rano babka do was zagładnie.

- Józefie - wyszeptał Janosz. - Pióro mi gęsie zatnijcie, a i soku z jagód utoczcie.

Nocą dręczyły Janosza jakoweś majaki i zmary. Spał więc niespokojnie, a bok doskwierał coraz mocniej. Szarpiący ból w głębi wnętrzości kazał mu hubką ognia skrzesać i kaganek zapalić. Czuł, że czasu mu niewiele zostało. Spod derki wyciągnął modlitewnik w skórę oprawny, który w rodzinie z pokolenia na pokolenie przekazywano. Na skórzanej oprawie znak starannie tłoczony, taki jak ów, co go na skale wydrapał. Za okładką kilka kartek zapisków jakowychś odnalazł, pustą spośród nich, zmiętą nieco wyciągnął i pisać zaczął.

Dopiero nad ranem zdmuchnął dopalający się kaganek i znów zapadł w sen niespokojny. Obudziła go babka zielarka. Wzrok miała zatroskany. Brzuch wzdęty mocno, starannie obmacała głową kręcąc.

- Wątpie mu naruszyły psie krwie! - burknęła pod nosem. - On ci już na księżą oborę patrzy - rzuciła przez ramię gospodarzowi, zamykając drzwi do alkierza. - Na sen i boleść ziola dam - zagadnęła kręcąc się po kuchni obok paleniska.

Gospodyni natenczas wody święconej przyniosła i krzyż na czole chorego uczyniwszy, modlitwę w jego intencji klepała. Karczmarz, Marysia i babka zielarka wtórowali jej nabożnie. Janosz resztką sił dopraszał się rozmowy w cztery oczy z karczmarzem. Jemu też list wraz z modlitewnikiem wręczył, o przekazanie tegoż bratu prosząc. Wreszcie garnek ziół, co mu babka uwarzyła, z trudem wypił. Niebawem przytomność straciwszy już jej nie odzyskał i kiedy koguty piał zaczęły, żywota dokonał. Nim słońce wstało pochowali go obok zabitego sługi, z nadzieją, że rychło poświęcana ziemia węgierska nieszczęśników owych przygarnie.

Adam przez chwilę trzymał w dłoniach zniszczoną książeczkę, ulubione opowiadania z czasów dzieciństwa, które Marta-jego babcia czytywała mu ilekroć tego zapragnął. Wśród nich znalazła się „Historia węgierskiego kupca”. Treść tej właśnie bajki stała się z czasem równie mu bliska jak mały miś z oderwanym uchem i wielką łatą na brzuchu. Teraz po latach spoczywały zgodnie w drewnianym pudle z ozdobami choinkowymi, które Adam wyciągnął ze strychu na kilka dni przed Wigilią.

Dorosłość stała przed nim otworem, a czas najbliższy miał przynieść z sobą niespodzianki i niebywałe wręcz zbiegi okoliczności mające posmak ekscytującej przygody.

Wigilia.

Właśnie z impetem otworzył drzwi domu w Podkowie, w którym od niemowlęctwa mieszkał z babką.

- Na wigilię mamy karpia i barszcz z uszkami - wołała witając go w progu. Zrobiłam poza tym śledzie które tak lubisz.

- Dzięki babciu.

Jej wnuk Adam Szamodi uwielbiał świąteczne przygotowania. Babka Marta Kornecka-Horváth była znakomitą gospodynią. W całym domu rozchodził się zapach świątecznego ciasta.

- Twoja matka obiecywała mi, że przyjedzie, a jest jak zwykle. Dlatego nie będę się stawiać na głowie, jestem na to za stara.

- Mama kończy projekt, nie wyrwie się z Budapesztu.

- Ale rodzina powinna być razem przynajmniej w Wigilię - babka dawała upust swojemu rozgoryczeniu.

- A ja ci nie wystarczę, twój ukochany wnuczek?
- Przestań przecież doskonale rozumiesz o co mi chodzi.
- A ta twoja Dorota, umówiłeś się z nią? Odwiedzi nas?
- Nie tym razem.
- Dlaczego?
- Babciu tylko mnie nie przesłuchuj tuż przed Wigilią. Mama nie jest taka dociekliwa, a może należałoby powiedzieć wścibska jak ty.
- Tylko się nie zagalopuj mój drogi. Nie dość, że będziemy w czasie świąt tylko we dwójkę, to zaraz się okaże, że wypowiedziałeś mi wojnę.
- Ani mi to w głowie. Nie będę piłował gałęzi na której siedzę.
- A` propos. Gdzie są te jodłowe gałęzie które mi obiecałeś?
- Na tarasie. Przyniosłem je wczoraj . Choinki nie ma, tylko zielenina w kuchni na jelenich rogach? Czyli nic nowego pod słońcem.
- Tak właśnie będzie póki ja żyję. Oszczędzamy co roku jedno drzewko, a w dodatku jedlinę będziemy mieli nad stołem.

Adam zdjął z półki wielkie pudło ze sklejki. W środku była kolekcja starych bombek i ozdób które babka przechowywała z niezwykłym pietyzmem.

Marta wyjmowała ostrożnie filigranowe rajskie ptaki ze szkła, liście z cieniutkiej miedzianej blaszki pamiątkę po swojej babci. Łańcuchy niezwykle delikatne i eleganckie mimo że pokryła je patyna czasu i sporą ilość długich cukierków w kolorowych celofanowych opakowaniach, a także kilka aniołków z klockowej koronki.

Adam szybko uporał się z wieszaniem ozdób, po czym oboje przygotowali stroik na stół.

Jeszcze tylko biały lniany obrus zdobiony haftem Richelieu i świece.

- Taką atmosferę lubię.

Marta przysiadła przy starym kwadratowym stole o misternie toczonych nogach. Ten stół i cztery piękne krzesła kryte kurdybanem to były - jak zwykła była mówić - "resztki dawnej fortuny". Po wojnie ocalał tylko on, resztę sprzedała siostra jej matki ciocia Zosia, kiedy w czasie wojny nie miała co do garnka włożyć.

- No to co? Teraz opłatek i mamy wszystko co trzeba.

Adam odświętnie ubrany wyszedł z pokoju. Babka zdążyła się przebrać w elegancką suknię z granatowej żorżety z białym jedwabnym kołnierzem. Adam przyglądał się jej ze wzruszeniem i podziwem. Była wiekową osobą, ale sylwetkę zachowała szczupłą. Siwe włosy upięte w kok stanowiły doskonałą oprawę dla kształtnej głowy.

- Mój drogi - życzę ci uzyskania dyplomu, zdrowia i żebyś był szczęśliwy.

Babka Marta trzymała w palcach kawałek opłatka.

- A ja tobie babuniu stu lat w takiej kondycji, satysfakcji z posiadania udanego wnuka i czego jeszcze?

- Chciałabym dożyć momentu, kiedy będę mogła cię oddać w ręce mądrej, dobrej i pięknej kobiety, która zostanie twoją żoną i matką twoich dzieci.

- Jak widzisz ustaliłam pewną hierarchię wartości. Najpierw mądra, potem dobra, a na końcu piękna.

- Babciu! Nie zaczynaj, mamy Wigilię.

- Racja bierzmy się za barszcz i rybę.

Leśniczówka Uhryń - Ludzie i zwierzęta.

Był mroźny słoneczny zimowy dzień. Punto w kolorze bordo podjechało pod bramę pięknej drewnianej leśniczówki w Uhryniu.

Miejsce ładne - pomyślał przyjezdny wypakowując torby z bagażnika. Na tylnym siedzeniu

auta leżał psi podrostek, który teraz gwałtownie usiłował wydostać się na zewnątrz.

Ani on, ani jego pan nie wiedzieli jeszcze, że życie czworonoga zmieni się niebawem diametralnie, a los zetknie go z Adamem Szamodi.

- Poczekaj Trop - linka. Nie wiadomo co za niespodzianki kryje podwórze.

Z ganku rozległo się szczekanie. Młodziutka suczka o gładkiej, brązowej, połyskującej sierści biegła w stronę bramy naszczekując przyjaźnie.

- To nasza Florcia. Sympatyczny wysoki mężczyzna w mundurze leśnika wyszedł z domu na powitanie gościa. Nie muszę pytać czy to pan dzwonił trzy dni temu, bo gryfonek to pańska wizytówka.

- Tak to ja. Nazywam się Marek Śliwicki.

- Górski, bardzo mi miło. Zapraszam do środka. Jesteście głodni? Jeśli tak to obiad jest gotów.

- Dziękuję - chętnie. Święta spędziłem u siostry, więc sami państwo rozumiecie przyzwyczailem się do domowego jedzenia.

Marek nie zamierzał przesiadywać w domu. Dni były krótkie i niewiele czasu zostało do zmierzchu. Wziął psa na linkę i ruszył drogą w górę. Rześkie powietrze wypełniał zapach ściętego drewna. Na pobliskim placu kłoców leżało trochę bukowej i jodłowej dżdżownicy. Pies rozglądał się wokół nerwowo, bo zwęszył jakiś trop. Zostawiał przy każdej okazji bileciki wizytowe podsikując co się dało. Jeszcze niedawno kucał a teraz z dumą zadzierał nogę. Była to oznaka zbliżającej się dorosłości.

- No i jak Trop? Podoba ci się tutaj? Widzę że jesteś zachwycony. Jedzenie pyszne, gospodarze sympatyczni i jeszcze suczka do towarzystwa. Życie nie umierać! Minęli przydrożną kapliczkę podchodząc drogą w górę aż do samotnego gospodarstwa. Wyżej były już tylko zakosy drogi wspinającej się po stromym zboczu.

- Tam nie pójdziemy. Wracamy do domu, już się ściemnia.

Na gości czekał leśniczy proponując ciasto i herbatę. Na ogół nie mam czasu na pogaduchy. Pracuję ciągle, ale dzisiaj wyjątkowo jestem wolny.

- Cieszę się bardzo, liczę że w tak przytulnym wnętrzu będę mógł posłuchać ciekawych opowieści człowieka lasu. Chwileczkę! Zaraz wrócę. Pobiegł na górę i po chwili przyniósł butelkę nalewki. To dereniówka, dostałem od siostry.

- Skąd pańska siostra ma dereń jadalny? - zainteresowała się gospodyni która niczym duch przemikała przez salonik. Dereń jadalny to wymierający krzew, a dereniówka? Po prostu pyszności.!

- Zapraszam także panią - powiedział Marek speszony swoją spóźnioną propozycją. Ale kobieta poprosiła jedynie o pół kieliszka i po chwili zniknęła w kuchni.

- Pięknie tu, prawda? Ale w takim oddaleniu od miejskich usług nie łatwo żyć. Człowiek czuje się bardzo samotny, szczególnie wtedy gdy dzieje się coś złego. Mniej jest gdy rodzina jest większa, a ludzi otaczają zwierzęta. Opowiem panu sympatyczną historię. Miałem pięknego konia. Nazywał się Drug i był przeznaczony pod wierzch. Dzisiaj mamy ich kilka. Był zimowy dzień i straszliwa zima. Musiałem się przebić kilkadziesiąt metrów z domu do stajni. W jej progu, w zaspie leżało coś czarnego. To był pies. Jego długa sierść była skołtuniona i umazana błotem. Wycieńczony do ostatka i przeraźliwie chudy, patrzył na mnie z niemą prośbą w oczach. Potrzebował natychmiastowej pomocy, ale gdy chciałem go wziąć na ręce, warczał. W obawie, że mnie ugryzie zostawiłem go na noc w ciepłej stajni razem z Drugiem. Konia oporządziłem i przyniosłem z domu ciepłą zupę i wodę. Nie chciałem by znalazł się przejadł. Następnego dnia kolejna porcja jedzenia i próby nawiązania bliższej znajomości. Opornie to szło. Musiał przejść swoje. Był bardzo nieufny, ale moja żona robiła co mogła żeby go przyhołubić. Po krótkim czasie wyglądał świetnie, a poza swoją panią świata nie widział. Daliśmy mu na imię Misio. Niebawem stał się psem domowym. Był szczęśliwy i tak do mojej Halinki przywiązany, że kiedy szła do Łabowej skąd jechała do pracy - zawsze jej towarzyszył. Ilekroć wsiadała do autobusu, pies

popłakiwał z tęsknoty, co wynikało z relacji kioskarki, potem zrezygnowany wracał do domu. Któregoś dnia tak niefortunnie przebiegał przez jezdnię, że dostał się pod koła samochodu. Zmaglowało go potężnie, ale jakoś się zerwał i uciekł w szoku. Zrozpaczona żona szukała go przez chwilę i nie znalazła. Nie było wyjścia - musiała jechać do pracy. Kiedy wróciła psa nie było. Szukaliśmy więc oboje. Podwójna to była przykrość: po pierwsze Misiowi po przejściach należał się spokojny żywot, po drugie jego przywiązanie do nas było wzruszające. Tak reagują zwierzęta bezdomne kiedy się je przygarnie. Okazują bezgraniczną wdzięczność. Mimo poszukiwań nie natrafiliśmy na jego ślad. Już został opłakany, a tymczasem po kilku dniach wrócił. Sponiewierany z połamanymi żebrami, ledwie trzymający się na nogach, ale był. Po okresie kuracji już nie tak sprawny, nie wypuszczał się z Halinką aż tak daleko. Więcej czasu spędzał ze swym przyjacielem Drugiem. Co prawda był psem domowym, ale każdy powód był dobry by łądować raz po raz w końskiej rezydencji, by umyć koledze pysk albo pociągnąć żartobliwie za ogon. Koń reagował na niego równie przyjaźnie. Nigdy nie wierzgał by Misia nie kopnąć. Ten w nocy patrolował obejście, a znaczną część dnia przesypiał w kuchni w pobliżu uwielbianej przez siebie pani. Któregoś dnia wybrałem się konno na wyrąb, żeby wyznaczyć drzewa do ścinki. Misio pobiegł ze mną. Konia przywiązałem do drzewa i rozluźniłem popręgi. Byłem zajęty około dwóch godzin. Pod moją nieobecność Drug rozluźował się w swoich uwiązach i poszedł do domu. Zdenerwowałem się, że jeśli koń wróci sam, wywoła to ogromne zamieszanie i niepokój żony. Wybiegłem na teren bezleśny, spojrzałem z góry na drogę i co widzę? W kierunku leśniczówki zmierza Drug, a prowadzi go Misio. Wołałem za nimi, udawałem kontuzjowanego, ale pies nie reagował wyraźnie zachęcając kolegę do kontynuowania spaceru. Gdyby na moim miejscu była Halinka pomysłodawca eskapady powróciłby z całą pewnością, ale ja w tym momencie okazałem się dla niego mniej ważny niż koń. Byłem rozczarowany jego postawą, ale musiałem przełknąć tę gorzką pigułkę. Misio miał wielką pasję myśliwską. Nic groźnego dla mieszkańców lasu z niej nie wynikało bo był mały i jak już mówiłem znacznie mniej sprawny po wypadku. Ta właśnie pasja była przyczyną jego zguby. Wyjechałem na rok do Stanów, a Misio swoim zwyczajem chodził do lasu. Któregoś dnia przepadł. Nie wiemy do tej pory czy złapał się we wnyki, czy dopadły go wilki lub ryś. Biedny Misio zniknął tak nagle jak się pojawił. Do dziś wspominamy go z wielkim sentymentem.

- Może jeszcze herbaty? - pytała pani domu

- Jeśli nasz gość nie ma ochoty to ja dziękuję Halinko - leśniczy ciągnął swą opowieść - Jeśli opowiedziałem panu historię Misia nie mogę nie wspomnieć o Belli. Otóż któregoś dnia pojawili się u nas jacyś ludzie i zadeklarowali sprzedaż suki - owczarka niemieckiego. Rozwodzili się szeroko nad tym jak bardzo są przywiązani do czworonoga, ale łzawe opowieści o uczuciach nie były przekonujące, bo przyjaciół się po prostu nie sprzedaje. Ponadto deklaracje z ich strony pozostawały w sprzeczności z postawą Belli. W trakcie pertraktacji dotyczącej finansów zażądali sporych pieniędzy argumentując młodym wiekiem psa. Sumę uznałem za znacznie wygórowaną, ale doszliśmy z żoną do wniosku, że Belli będzie u nas lepiej i wypłaciliśmy żadaną kwotę. Przez cały ten czas suczka leżała nieruchomo. Kiedy jej właściciele opuszczali nasz dom, nie drgnęła, przyłgnąwszy pod stołem do mego buta dając w ten sposób do zrozumienia, że wybrała nowego pana. Bella starzała się dość szybko. Wbrew deklaracjom byłych właścicieli przybyła do nas jako pani w średnim wieku - czego świadomość mieliśmy od początku. Po niedługim czasie zorientowaliśmy się, że jest przygłucha, niedowidzi i traci węch. Mimo to zawsze chętnie chodziła ze mną do lasu. Któregoś dnia poszedłem na zrąb, na maliny. Oczywiście Bella człapała ze mną. Nagle słyszę jakieś obce dźwięki, a to potężna locha z dwunastoma warchlakami - podrostkami. Ja zbierałem maliny one też. Dziki ciamkały, mlaskały pochłonięte ucztą. Prosiłem opatrność by odeszły. Wiedziałem, że jeśli Bella się ruszy,

locha pójdzie na mnie, a spotkanie z maciorą broniącą dzieci to nie przelewki. Na szczęście nie złapała mojego "wiatru" - zresztą gdyby tak się stało nie wyszłaby na żer. Jedyny raz w życiu byłem z dzikiem tak blisko i to z dzikiem w tak doskonałym nastroju.

- Pięknie pan opowiada. Zazdroszczę panu miejsca i przeżyć.
 - No cóż, może się wydawać, że życie tutaj to sielanka, ale nie zawsze bywa tak miło. Zamieszkaliśmy tu w roku 1980. Moja żona Halinka była dziewczyną z miasta. Nie mieliśmy wtedy zupełnie sąsiadów. Mój syn urodził się w roku 81-ym w stanie wojennym. Telefony odcięte, a jedyne wyjście w takiej chwili to sanie i Drug. W dodatku przy zrzucaniu siana ze stryszku uległem bardzo ciężkiemu wypadkowi. Trzy miesiące spędziłem w szpitalu. Syn urodził się 30 grudnia, a wypadek miałem w lutym. Żona sama z dzieckiem na kompletnym odludziu. Kiedy wróciłem ze szpitala był czerwiec.
 - No rzeczywiście! Sytuacja nie do pozazdroszczenia.
 - Kochamy bardzo to miejsce i nasze dorosłe dzieci Róża i Jasiak są również przywiązane do leśniczówki. Trzeba przyznać, że bez psów, kotów i koni nikt z nas nie wyobraża sobie rodzinnego życia tutaj.
 - Właśnie - panie Janie - konie. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o jeździe konnej, a nigdy nie było okazji by to zrealizować.
 - Proszę przyjechać latem, wszystko nadrobimy, a jutro pójdziemy do stajni. Pokażę naszych ulubieńców, to i owo opowiem, jeśli czas pozwoli. Jak już wspomniałem jestem zajęty od rana do wieczora. Która to godzina? O! Już 19-ta. Wyjdźmy na zewnątrz. Zobaczysz pan jak pięknie wygwieżdżone jest niebo.
 - Bardzo chętnie. Marek zapiął na szyi smycz drepącemu niecierpliwie Tropowi. Śnieg błyszczał w księżycowej poświacie.
 - Idzie do pełni. Będzie jeszcze piękniej i jeszcze jaśniej jeśli utrzyma się mroźna wyżowa pogoda. Widział pan tę ciężką okiść na gałęziach jodeł i świerków?
- Spacerowali po terenie starannie odśnieżonego podwórza. Po chwili leśniczy zaproponował.
- A może weźmiemy chleb, kiełbaskę i zapalimy wiatrę? Drewna jest dużo, a nad stawem mamy palenisko.
 - Nie ośmieliłbym się wystąpić z taką propozycją, ale jeśli tak to dla mnie wielka frajda. Pan Jan zniknął w leśniczówce i po chwili szli już w stronę ogniskowego miejsca. Zmrożony śnieg zgrzytał pod butami.
 - Po raz pierwszy jestem w nocy w takiej scenerii. Naprawdę dziękuję serdecznie. Czy pan wszystkich przyjezdnych tak traktuje?
 - Goście na ogół bawią się sami. Dzisiaj to wyjątkowa okazja. Jesteśmy, jak mówiłem, zapracowani od świtu do zmroku, ale coś za coś panie Marku. Życie gdzie indziej byłoby nieznośne.

Leśniczy ustawił drobne szczapy w piramidkę, obłożył jedliną a nad nią stanęła większa - z grubszego drewna. Po chwili buchnął płomień. Smolne gałęzie paliły się doskonale. Zrobiło się bardzo ciepło. Kiełbasy piekły się na długich widelcach. Trzeba było dozować płomień, by nie spalić przysmaku na żużel.

- Panie Janie podobno tu są rysie.
- Tak są tutaj. Pod okiem pracowników naukowych zakłada się rysiom obroże telemetryczne. Trochę im pewnie przeszkadzają, ale musimy o nich wiedzieć więcej. Rysie czują się tu znakomicie. Nie mają poczucia zagrożenia. Proszę sobie wyobrazić, że o 150 metrów od leśniczówki ryś zagryzł łanię. Ten kot, jak to kot, ma świetny wzrok, atakuje w nocy z zaskoczenia. Podkrada się bezgłośnie, potem kilkoma szybkimi skokami dopada ofiarę i dogryza za krtań, a wygryzanie zaczyna od szynek. Często zagrzebuje resztki. Znaleźliśmy dziewięć zagryzionych saren. To kotka z młodymi i kocur. Nie wiadomo które z rodziców jest agresorem. Mamy tu niedaleko piękny rezerwat "Borsuczyny" - fragment fliszu karpackiego. Nazwę przyjęto od jego mieszkańców. Teren nie najlepszy do podchodzenia.

Wyznaczaliśmy jesienią drewno do ścinki między Przyporem a Czerszłą. Obchodząc skałki zauważyłem coś płowego. W pierwszej chwili pomyślałem, że to sarna, ale patrzę - ryś! Próbowaliśmy go okrążyć by zbliżyć się do niego choć trochę, ale opadłe liście strasznie szeleszczą, suche gałęzie trzeszczą, baliśmy się go spłoszyć, a on jakby czekał na nas. Czuł się tu królem. Odważyłem się zbliżyć jeszcze bardziej. Podszedłem do niego dosłownie na kilkanaście kroków. Byliśmy oko w oko. Stał nieruchomo i patrzył na mnie zupełnie bez bojaźni. Po kilku sekundach oddalił się w miękkich susach. Nie miałem aparatu, nie mogłem zrobić zdjęcia. Szkoda. Byłoby to trofeum nie byle jakie. Kielbasa już pachnie bierzmy się do jedzenia.

- Podleśniczy woła mnie w pewnej chwili - ciągnął opowieść pan Jan - bym rzucił okiem jak orzeł zeruje na resztkach padliny. Patrzę, po chwili z sosny sfruwa drugi. Po prostu jeden drugiego asekurował. Zobaczyliśmy resztki zabitego kozła. Następnego dnia wyciągnęliśmy resztki spod śniegu by dać sobie szansę dłuższej obserwacji tych pięknych ptaków. Tu jest gniazdo orłów. Ku naszej radości stare wyprowadziły jedno pisklę. Doliny są bogate w hale i łąki, łatwo coś wypatrzyć. Nietrudno o łup: orzeł przedni potrafi zaatakować nawet sarenkę. Następca tronu głodował nie będzie.
 - Nie muszę zadawać pytania czy są tu wilki bo oczywiście są.
 - Oczywiście. Pewnie je pan usłyszysz. Wilki to mądre zwierzęta. Niedaleko stąd Potok Uhryński przedziera się między stromymi zboczami. Jest tam urwisko, gdzie zapędzają zwierzę, by zmusić je do samobójczego skoku. Skok z kilkunastu metrów to dla jelenia czy sarny złamanie badyli, a dla wilków koniec polowania. Wilk w przeciwieństwie do rysia wygryza przede wszystkim jelita i żołądek.
 - Myślę, że nasze żołądki są pełne. Zrobiło się bardzo późno, a ja zrywam się skoro świt. Dlatego kończymy imprezę i do domu.
 - Dziękuję panie Janie, to był wspaniały wieczór.
- Następnego ranka po śniadaniu, Marek wybrał się z psem na kolejny spacer. Nie miał ochoty przedzierać się przez głęboki zmrożony już śnieg. Szli znaną sobie odśnieżoną drogą. Przebyli dwukrotnie kilkukilometrową trasę. Pod koniec każdego z odcinków Trop przysiadł na łapach usiłując wygryźć z między palców lodowe grudki. Skórę łap miał delikatną, a z tak niską temperaturą spotkał się po raz pierwszy w swoim krótkim psim życiu. Po powrocie do domu spał więc snem kamiennym, kiedy jego pan wraz z leśniczym udali się do stajni. Stało tu kilka koni, które rżały na powitanie. Marek zawsze lubił specyficzny zapach siana i końskich odchodów. Imiona wszystkich koni zaczynały się na literę D. Stały tam : Draga, Daria, Donia i inne, wszystkie bardzo ufne i łagodne.
- Proszę się nie bać i podejść tutaj - zachęcał Jan. Sam uwielbiam głaskać końskie chrapy, są niebywale aksamitne.
 - Mają piękne mądre i dobre oczy - dodał Marek głaszcząc pierwszą z brzegu klacz po pysku i grzbiecie.
 - Proszę im dać po kostce cukru na rozłożonej płasko dłoni, będą zachwycone. Teraz do rzeczy. Tu jest kulbaka kawaleryjska. Może nie jest szczególnie wygodna, ale korzystam z niej z przyzwyczajenia. Najważniejszym po osiodłaniu i założeniu ogłowia wędzidłowego jest dociągnięcie popręgów. Po kilkudziesięciu krokach jeszcze raz je sprawdzamy. To rzecz bardzo ważna, bo w górach siodło może się zsuwać w przód lub w tył, w zależności od tego, czy koń idzie w dół, czy w górę. Popręg powinien być na mostku. Natomiast co do jeźdźcy, pierś powinna być wysunięta w przód, a łokcie do siebie. Sylwetka wyprostowana, ale luźna. Trzeba "przykleić" się do siodła. Musimy dopasować strzemię, czyli dostosować właściwie długość pasków. Stopka strzemia powinna dotykać kostki, po włożeniu nogi w strzemię piętę obciągamy w dół, wodze lekko napięte, żeby wędzidło nie uderzało konia po zębach. Kiedy jedziemy w góry koniowi oddaje się wodze, bo inaczej sami możemy się

uszkodzić, albo odbić koniowi grzbiet. Jeśli jedziemy klusem musimy umieć anglezować. Nie ma problemu gdy jedziemy stępą. Jeśli człowiek spadnie z konia a noga zostanie w strzemieniu, gdy zbyt głęboko ją włożymy, to mamy duży kłopot. Co jeszcze? W lesie trzeba naprawdę umieć siedzieć na koniu, żeby nie uderzyć kolanem w drzewo. Poza tym warto wiedzieć, że koń jako bardzo mądre zwierzę, doskonale się orientuje z kim ma do czynienia i nie chce słuchać niedoświadczonego jeźdźcy. To byłoby wszystko panie Marku. Nie mam już jednej chwili czasu. Jeśli ma pan na to ochotę zapraszam teraz do nauki czyszczenia i oporządzania koni. Zachęcam do przyjazdu latem. Zostanie pan jeźdźcem jak się patrzy. Następnego ranka pies był najwyraźniej wybiegany bo z umiarkowanym zapalem wychodził z domu. Być może chodzenie na smyczy bawiło go średnio, ale Marek bał się by zupełnie nieulożony ulubieniec złapawszy wiatr, nie pognał do lasu, jak to z psami myśliwskimi bywa. „Muszę nauczyć go posłuszeństwa” - pomyślał. Bez tego ani rusz. Polował w mieście nie będzie, więc wszelkie szkolenia nie mają sensu. Po południu nadeszła wiadomość z konsulatu amerykańskiego. Miał w trybie pilnym zgłosić się w sprawie nieścisłości w dokumentach. Wyjazd przed samym sylwestrem nie był mu na rękę, ale nie miał wyjścia. Poprosił swych sympatycznych gospodarzy o dwudniową opiekę nad psem. Ich dzieci przyrzekły ochoczo, że zajmą się gościem przykładowie. Wyjechał wczesnym rankiem dnia następnego obiecując czworonogowi, że tym razem rozstanie nie potrwa długo. Miał nadzieję, że uda mu się spędzić sylwestra w przytulnej leśniczówce w przyjaznej rodzinnej atmosferze.

Pożar i ucieczka Tropa.

Trop po jego wyjeździe snuł się po domu osowiały, ponuro spoglądał na swych nowych opiekunów. Nie pomagały przysmaki serwowane przez panią Halinkę, ani pieszczoty ze strony całej rodziny. Wskakiwał na zewnątrz szarpiąc linkę z nadzieją, że za drzwiami znajdzie utraconego pana. Zatrzymywał się zażenowany i stał z podwiniętym ogonem zapierając się w sobie. Spacerowały mu z głowy - czekał.

W przeddzień sylwestra leśniczy odebrał telefon. Ich gość informował go przepraszając za kłopot, że samochód zepsuł się w drodze, a on sam utknął w Brzesku. Mechanik podjął się naprawy i pechowiec miał wrócić natychmiast, jak to będzie możliwe. Niestety Trop o tym wszystkim nie wiedział. Wieczorem popiskując powłókł się do swego pokoju i ułożył przy walizce. W nocy obudził go jakiś niepokojący zapach. Czuł wyraźnie, że coś jest nie w porządku. Ogarnął go lęk. Wybiegł na korytarz i zaskomlał. Na dole słychać już było tupot nóg i nawoływania. Zdenerwowany ruszył truchtem do kuchni. Tam nie zastał nikogo. Wybiegł na zewnątrz przez otwarte drzwi. Rodzina leśniczego wraz z suczką stała bezradnie na podwórzu. Leśniczy pobiegł właśnie na poddasze skąd coraz gwałtowniej wydobywał się gęsty dym. Z dala słychać już było przeraźliwy głos syreny, to z pobliskiej Łabowej nadjeżdżał wóz Ochotniczej Straży Pożarnej. W niedługim czasie dołączyły głosy kilku syren nadjeżdżających wozów bojowych. Straszliwe wycie rozsadzało psu czaszkę. Tumult i strumienie lodowatej wody tłoczonych węzami do środka budynku, okropny harmider i zamieszanie, a także poczucie ogromnego osamotnienia sprawiły, że nagle rzucił się do panicznej ucieczki. Gnał przed siebie na oślep w las byle dalej od tego miejsca, które nagle z przytulnej przystani zamieniło się w piekło.

Zziębnięty początkowo pędził drogą pod górę, potem skręcił na przełaj jakąś ścieżyną wydeptaną przez leśną zwierzynę. Usłyszał nagle przeciągłe wycie. Najpierw był to jeden głos, później dwa, a wreszcie było ich kilka. Złowrogi dźwięk niósł się z oddali, ale wywołał u Tropa jeszcze większą panikę. Czuł instynktownie kolejne zagrożenie. Był teraz zupełnie sam, zdany na łaskę i niełaskę skutego lodem lasu i jego dzikich mieszkańców. Nie uświadamiał sobie bólu

poranionych zmrożonym śniegiem łap, ani zimna, bo wciąż biegł, biegł bez wytchnienia. Świtało kiedy poczuł gwałtowne szarpnięcie i ból. Jakaś pętla zacisnęła się na przedniej łapie i zatrzymała go gwałtownie. Trop nie wiedział, że to wnyk zastawiony na lisa. Biegł zwierzęcym traktem, gdzie czyhały paści zastawione przez człowieka i wpadł w nie sam. Skowyt przerażenia i rozpacz wydał się mu z gardła. Szarpnął kilkakrotnie usiłując wydostać się z pułapki. Niestety im mocniej się wyrывał tym mocniej zaciskał się wnyk.

Ogarnęło go uczucie strasznego zimna a wraz z nim rezygnacja. Tkwił teraz nieruchomo z łapą uwięzioną w drucianej paści. Miał pustkę w głowie, dygotał. Nagle usłyszał trzask łamanych suchych gałązek i energiczne kroki. Doleciała go woń człowieka, ale nie był to znany i miły zapach jego pana. Zobaczył zwalistego mężczyznę ubranego w kozuch i baranicę na głowie, w ręku trzymał siekiere.

- O! Tu cie mom!

Złapał Tropa za obrozę i uniósł w górę metalowy przedmiot. Ostrze siekiery błysnęło w górze i zanim spadło w dół, przerażony pies instynktownie przypadł do ziemi. Mężczyzna zarechotał. Siekierą odciał pętlę przytrzymującą psią łapę i uwolnił od potrzasku. Pomacał - była opuchnięta, skóra uszkodzona, ale kość cała.

- Idzis, ancykrysie? Mosz szczynście żem cie naloż, zdekbyś do rana jak nic! Mróz po psikrwi.

Trop nie był w stanie podeprzeć się łapą. Chłop który nieżywą sarnę miał przewieszoną przez kark wziął psa za pazuchę i ruszył przed siebie. Nie było daleko. Na maleńkiej polance stała niewielka chałupina zapadnięta w ziemię z dwoma okienkami. Dach przykryty papą, ściany z bali kiedyś bielone, ocieplone były warstwą ubitych suchych liści, przytrzymywanych kratownicą z leszczynowych gałęzi. Po drugiej stronie sionki było pomieszczenie bez okna, coś w rodzaju maleńkiej stajni. Kiedyś musiała stać tu krowa albo koń. Teraz jedynie gruby i ciężki łańcuch zwisał przy pustym żłobie. Mężczyzna niewiele myśląc przypiął nim Tropa do ściany i wyszedł. Pies został sam. Kiedy przyszło opamiętanie poczuł straszne pragnienie. W stajence było cieplej niż na dworze, ale Trop nie przywykł do spartańskich warunków. Leżał na brudnych, zmurszałych i cuchnących deskach w kompletnej ciemności. Przez szparę pod drzwiami dmuchał lodowaty powiew. Dygocącego zastał gospodarz. Przyniósł mu chleb namoczony w gorącej wodzie.

- Mosz zryj!

Podsunał psu brudną, oblepioną czymś zaschniętym miskę. Zrobił to przy pomocy motyki z obawy, by pies go nie ugryzł. Trop nie tknął jedzenia, ale kiedy człowiek zniknął, zjadł parę kęsów przyczołgawszy się do miski. Potem zapadł w odrętwienie. Kiedy po raz kolejny otworzyły się drzwi, chłop wszedł do stajenki mając ze sobą latarnię. Postawił ją na zydlu, za łańcuch przyciągnął do siebie psa i chwyciwszy go mocno za kark, obmacywał łapę. Więzień zaskowyczał.

- Idzi berosie?! Jagbyś nie lotoł po lessie ino siedzioł na dupie w chołpie, to byś se rapy nie zepsuł.

Przejechał wielką, twardą dłonią po łbie zwierzęcia. Trop przy każdym dotknięciu obcego robił się sztywny, napięty i dygotał. Nie podobał mu się ten człowiek. Nie podobało mu się miejsce, w którym się znalazł dzięki złośliwemu kaprysowi losu. Tęsknił za swoim panem. Owładnęła nim przemożna chęć natychmiastowej ucieczki, ale jak to zrobić kiedy drzwi są zamknięte, łańcuch trzyma na uwięzi i łapa boli? Poranione poduszki goiły się na szczęście szybko. Kiedy opuchlizna ustąpiła i pies przestał utykać, stary kłusownik wywlókł go na zewnątrz i przypiął łańcuchem do świerka. Z chałupy wytaszczył obrzyn, przyłożył strzelbę do oka i pociągnął za spust. Na huk wystrzału Trop wpadł w popłoch, przylgnął do ziemi i trząsł się jak galareta.

- Bois sie ancykrysie?! Jo cie wyuce! Bedzies ze mno chodził do lassa, bedzies.

Przygroził psu obrzynem i zaciągnął do stajni. Trop był zdesperowany. Potrzebował ciepłego i serdecznego kontaktu z człowiekiem. Taka była cecha jego rasy, a poza tym dotychczas był

rozpieszczany, traktowany jak partner i członek rodziny, aż tu nagle wszystko zniknęło jak piękny sen. Eksperymenty ze strzelbą powtarzały się każdego dnia przez tygodnie, ale nie było widać żadnej zmiany w psim zachowaniu. Dygotał, przypadał do ziemi, czołgał się w krzaki. Wychodziłby na zewnątrz z radością z tej śmierdzącej, zimnej i ciemnej stajni gdyby nie to, że z góry wiedział co go czeka. Coraz bardziej zapadał się w sobie. Ogarnęła go bezgraniczna depresja. Kłusownik tymczasem próbował nauczyć go reagowania na komendy, wydawane chrapliwym głosem. Wrzeszczał przy tym na całe gardło. Pies nie reagował. Któregoś dnia chłop kopnął go po kolejnej nieudanej próbie nakłonienia do posłuszeństwa. Trop przypadł do ziemi i po raz pierwszy zawarczał pokazując zęby. Tego było za wiele. Gospodarz spuścił opornemu zwierzakowi baty i wsadził tym razem do stajennego chlewa.

- Jak śnig zeńdzie to cie przedom jakimusi gościowi, a jak nie to szczele siekirom bez łeb i będzie z tobo kuniec!

Wizja zarobku sprawiła, że zaczął lepiej żywić więźnia. Dostawał czasem kawałek mięsa ze skłusowanej zwierzyny i kaszę. Był czas najwyższy, bo wyglądał jak szkielet. Przez skórę można mu było policzyć wszystkie żebra, a jego wrażliwość na zimno była coraz większa. Chłop wrzucił do chlewika wiązkę siana. Chlew śmierdzał mocno świńskim gnojem, ale było w nim nieco cieplej niż w stajni. Miał przynajmniej schronienie, bo przeraźliwe, nocne wycie wilków wprowadzało go w popłoch. Siedzenie w ciemnościach sprawiło, że oczy fatalnie reagowały na światło i chwile pobytu na zewnątrz sprawiały mu ból.

Mijały kolejne dni i tygodnie beznadziejnie podobne do siebie. Wreszcie z dachu zaczęła się do wewnątrz sączyć woda. Był to znak, że nadchodzi zmiana. Mróz "strzelił", w powietrzu czuło się wilgoć i zapach zbutwiałych zeszłorocznych liści. Las powoli budził się do życia. Mógł być początek kwietnia, kiedy chłop przeniósł Tropa na dwór. Przypiął łańcuch do belek chałupy, a kawałek blachy przystawiony do ściany miał zastąpić budę. Na noc zamykał go w stajni obawiając się, że wilki zdejmą psa z łańcucha i ewentualny zarobek przejdzie mu koło nosa.

Nieszczęśnik był w nieco lepszej formie. Z wiosną wstąpił w niego nowy duch. Zamiast depresji pojawiła się agresja, której kłusownik tym razem nie próbował ukroić.

- Bedzie zły to lepi - na co kumu łajza?

Któregoś popołudnia pod nieobecność gospodarza, trop spostrzegł wychodzącego z lasu lisa. Rzucił się w jego stronę na długość łańcucha, poczuł szarpnięcie i wtedy obroża pękła, a może tylko się rozpięła. Był wolny!. Poczuł nieopisaną radość.